

nowa
proza
polska

Inga
Iwasiów
Bambino



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
Flash Press Media

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Maria Fuksiewicz

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Bożenna Burzyńska

Copyright © by Inga Iwasiów, 2008
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., 2008

Świat Książki
Warszawa 2008
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1933-4
Nr 45000

Spis treści

MARIA, URODZONA 1940

JANEK, URODZONY 1940

ULA, URODZONA 1930

ANNA, URODZONA 1930

POWINNOŚĆ

PAMIĘĆ, 1949

WĘZEŁKI

ŚNIADANIE W BARZE „BAMBINO”, 1959

URZĄDZANIE ŻYCIA, 1957, PÓŹNIEJ I WCZEŚNIEJ

ŚLUB, 1960

ZOSTAŃ, 1961

PROFESOR, 1962 I NIEBYT

POCZTÓWKI, ODKRYTKI, KARTKI, MIĘDZY CZASAMI

SALON KRAWIECKI, wyjęte z czasu

AWANS, data tajna

NIEDZIELE, 1962

ODWIEDZINY, na krótko

NARODZINY, 1963

RESTAURACJA „KAMERALNA”, 1964

W BARZE, 1965

BIUROWE SPRAWY, 1965

PASZPORT, 1967

PUSTKA, 1968

CZEKANIE, 1968

NA CO UMIERAJĄ LUDZIE, w swoim czasie

POGORZELICA, 1969 I INNE SEZONY

KUZYN Z UKRAINY, 1970

MAŁŻEŃSTWO ANNY, 1971

ZWIĄZKI PRZECHODNIE, brak czasu

POLOWANIE NA KOMARY, 1972

SOBOWTÓRY, spotkane poza czasem

ROZWÓD, 1973

WIĘZI, nie na czasie

ICH MAŁA DESTABILIZACJA, 1974

LEKCJE MUZYKI, 1975

POSIŁKI, 1976 I WCZEŚNIEJ

DZIECI Z ADAPTEREM „BAMBINO”, 1977

SZNURECZKI

OBIAD W BARZE, 1978

SAMOTNY ŁOWCA, 1979

MARIA, URODZONA 1940

Maria to w sobie nosi, zakładam. Obraz drogi, ale nie tylko. Coś, co stało się w trakcie. Coś pozostawionego daleko za sobą. Jak wszyscy inni, ma to coś w sobie, nitki zbiegają się, geny, przecinają, z kombinacji mogą wynikać różne rzeczy, a ja chcę się dowiedzieć, kim są oni, być może to właśnie moja historia, ale równie dobrze nie moja i niczyja. Pogrzać w obrazkach, przebitkach, odpadkach. Nie ma się czego trzymać, żadnego albumu, żadnego dziennika. Żadnej idei przewodniej, poza potrzebą. Opowieści raczej niezborne. Co sobie kto na swój temat wymyśli. Na temat postaci, którą jest. I życie, ot po prostu, ich albo czyjekolwiek. Przeszłe i trwające. Nic więcej nie mamy na ten temat. Ruch odśrodkowy, zachodzenie od tyłu, to samo, jednak bez widoków na tak samo. Matka wszystkich takich straconych złudzeń, Maria.

Zaczynam od Marii, bo pociąga mnie jej imię. Wszystkie kobiety mają na imię Ewamaria. Ta tym bardziej. Jakby z imienia została postawiona na początku i od razu, bardziej niż Ewa, mniej, oczywiście, wyznaczona, wybrana z tłumu, a przecież nikt jej tego nie obiecywał. Nikt, nazywając dziewczynkę, a właśnie tego pragnie, naznaczenia.

Kusi i zaklina los, tak dając, bezmyślnie, dziewczynce na imię. To znaczy wyznaczona na pewno, jednak nie zapomnijmy: Maria to w tej sytuacji pospolite imię. Tak zapewne ma na imię co trzecia bohaterka poczęta w interesujących mnie okolicznościach. Tych, które uważam za fragment obrazu drogi. Po prostu, nasze babki często tak miały na imię. Nie mam czym się chwalić, bo zobaczymy, co będzie z imionami i z nimi dalej.

Przywieźli ich dopiero w 1957 roku. Przywieźli. Wiózł ich pociąg, a najpierw ktoś pozwolił, wydał dokumenty, podstemplował im ich decyzję. Ich i tamtych wahanie, już, już podejmowaną decyzję, ale potem cofnięta ręka, odwrócone koło, stanie dalej przy tym samym płocie. Aż do tego, ostatniego momentu. I nie było wcale śmiesznie i bohaterko w tych – jasne, dziś mówimy „bydlęcych” – wagonach. Ale wszyscy nimi jeździli, czego się spodziewać, wciąż było po wojnie. Cały tabor zużyty, salonki zużyte na co innego. Na wożenie ważnych ludzi, którzy podejmowali ważne decyzje. I nawet wagony 4 klasy. Wagony każdej klasy. W końcu do czego mieli ludzi ze wszystkim upakować? I jakie – kto, gdzie – woził bydło? Co oznaczało „bydło” w czasie, gdy te wagony opuszczały niemieckie, zwykle niemieckie, fabryki? Rosyjskie, radzieckie fabryki, inny rozstaw szyn, więc i osi, co mogłoby, co służyło wielu sentymentalno-symbolicznym wywodom. Więc podkreślanie, powtarzanie tego, że w bydlęcych... Do miasta, dalej, do większego miasta każde z nich, każda i każdy, jakimś kiedyś pociągiem jeździło. Gdyby porównać, co innego zaczyna znaczyć „bydłęcy”. Oni też podjęli swoją decyzję. Decyzję, której nie można traktować jako w pełni suwerennej. Trudno w ogóle mówić o decyzji. Tak, niech od tego się zacznie – trudno mówić o decyzji. Ona zaczyna się potem, można ją dorobić do zdarzeń. Pałą ci dom, znów przyjdą

po zboże, a nawet ziemniaków nie ma, od dawna nie ma też, jako takiej, pracy (może pracy, jako takiej, akurat nigdy nie było; praca, owszem, jako manifestacja tego, że jest, kiedyś nawet była), ogródek zryty do ostatniego ogórka, w szkole dzieci oduczają języka (przynajmniej tak o tym mówią, bo niedokładnie wiadomo, czy właśnie nie uczą, co też delikatne, języka, właściwego języka na przyszłość), sąsiadka z naprzeciwka coś musiała powiedzieć kochankowi enkawudziście, ma złość za jakieś dawne sprawy, może za obmowę, sąsiad z lewej coraz głośniejsze mówi, że to dziwne. Może złość z młodości, wracają z tańców, ona nie z tym, na którego miała ochotę. Za to ta... owszem, z tym, na którego ona... Jakieś normalne, wiejsko-podmiejskie, sprawy, każdy je zna, każdy doznaje, nie wiedząc w chwilę potem, co znaczą, tylko z odpowiedniego oddalenia mają wagę.

Że ich nie wywieźli na wschód, to dziwne. Że nie zabrali się stąd, to dziwne. Że sami nie wiedzą, czego chcą, to dziwne. Że tak siedzą tu, to dziwne. Że... Nie wiadomo najlepiej co lepiej. Jakiego używać języka. Z jakiego mieliby wywozić powodu. Gdyby spodobała się komu ich zagroda. Powody są zawsze z jakiegoś powodu. Więc od lat czekają na decyzję i sami muszą zdecydować, kim są bardziej. Którego dziadka raczej ukryć, którego wyeksponować. Który dziadek mógłby dać alibi, okazać się kapitałem. Chociaż obaj, wstecz, pradziadkowie, rozgałęzieni aż po prawie mityczną przeszłość, wspomnijmy tu i o mitycznych pra-prababkach, jednak one zawsze umiały pożywić, mąki lub języka, czyli to dziadkowie zwykle okazują się decydujący, opoka epok badanych wstecz, nawet gdy legendarnie milczą, bo w milczeniu miałyby być namysł, a naprawdę był zwykły autyzm, normalna, najnormalniejsza głupota, co parę pokoleń, albo w bocznych liniach po-

przetykana talentem do opowieści, które jak zły gen służą gorszemu przetrwaniu, bo kto mówi, sam się może skazać. Dla pamięci synów i wnuków bezsprzecznie najważniejsi ci autystyczni i ci wymowni dziadkowie, także u córek tata to ho, ho! Dopiero był gościu. Nie wiemy dlaczego, co takiego tata mianowicie robił, przyjmujemy tę wiedzę od przeszłych pokoleń. Kim był ojciec i kim była matka. I oni, niespecjalnie pielęgnowana w chłopskiej czy podmiejskiej okolicy przeszłość, nagle wydobyta na światło dzienne. Języka uczymy się od matek, tylko co one nam mogły opowiadać w tych chatach z niską powałą i pamiątkowym oleodrukiem z Matką Boską-skądś tam? Co mogły mówić? Wolę nie słyszeć tych opowieści.

Słowiaste zdjęcie prababci z pradziadkiem, sztywne pozy, a w tle, widoczna w zażółconej sepii, bieda. Przez tę zażółconą sepię biedę, a właściwie liszajowatość okolicy pokrytej bujną zielenią, jeszcze bardziej widać. Liszajowatość życiorysu. Biedę okolicy i ludzi, ich uroda należy niewątpliwie do przeszłości, kiedy pozują do zdjęcia, lecz zakładać należy, że zawsze mogła być wątpliwa. Przez biedę, która nie dodaje niczego dobrego sylwetkom i rysom. Uroda może ujawniać się w dzieciach, dlatego tak często się mówi: „to cały tata”, „to mama jak była młoda”. W sprawie zasadniczej zaś nie ma co ukrywać, nie ma co mówić o tradycji. Poza tradycją miski kaszy. W pewnym sensie wszystko by było jedno, kto z nich z jakiej jest rodziny, teraz okazuje się, że w zależności od przodków zwykle oranie, obrządek, punktualne chodzenie do kościoła... Zacierki, pomidory, jabłka, przybrudzone koszule, spanie pod pierzyną po babce, wietrzenie poduszek na kulawym płocie, wygódka postawiona nad płytkim dołem. Że to ma znaczenie i na jaw wychodzi, że różni się dziadek od dziadka, dzień powszedni od dnia powszedniego, Wigilia

od Wigilii. Kościół od kościoła, że cerkiew to zupełnie inna sprawa, cerkiew jest prawie tak podejrzana jak bożnica. O której w ogóle tu się nie mówi. Poza scenką ze zbieraczem szmat stojącym tak nisko, że o wiele niżej. Żyd chodził, Żyd szmaty zbierał. Ostrzył noże? Kto chciałby za dużo rozpamiętywać, ot, kwestia krajobrazu. Aż zdarzy się coś, w sąsiedniej wsi, ale i to nie musi dotrzeć. Poza tym stoimy zdecydowanie, póki ktoś jest poniżej, jesteśmy na powierzchni.

Kościół zaś (od cerkwi) mniej podejrzany. Był do czasu, oczywiście. Trzeba więc zdecydować, za jaką wiarą opowiadała się już babka, która miała nad łóżkiem oleodrukową pamiątkę z pielgrzymki, niezwykłą Matkę Bolesną, przypominającą, gdy się dziś na to patrzy, ikonę. Bo sama babcia, jej córka i córka córki nie myślały o tym. Przypominającą bolesnością, boleściwością ikonę. Przypominającą matce matki i matce jej własne – choć tak o tym przecież nigdy nie mówi i nie myśli – życie. Kojarzy co nieco, wzdycha, miesi ciasto dłonią wycieraną fartuchem. Popatrzuje nad łóżko, tam patrzy mateńka, tam jej pilnuje, mateczka matek, w godzinie porodu i odejścia. Tylko kwestia postaci w centrum pozwala te obrazki – ich relikwię rodzinną i ikony wiszące tymczasem spokojnie, jeszcze nikt ich nie wozi na szmugiel, w chacie sąsiadki – odróżnić. Bo poza tym równie są piękne. Kolory, jak prawdziwe, właściwie lepsze od prawdziwych, dużo, dużo lepsze. Lepsze od złota koszulek na tych z prawosławia, co dowodzi wyższości naszej wiary, nie tak skłonnej do przepychu, skromniejszej, podobnej do ludzi i dla ludzi. Niewynoszącej dziwnych świętych, pachnących zabobonem, nad matkę matek. Prawdziwa, warta wiezienia tysiące kilometrów stąd, sztuka. Warta więzienia. Jakby kto pytał o tradycję i kulturę. To jest właśnie ta najstaranniej przechowywana sztuka. Ma-

teccka boleściwie panująca nad godzinami rozwarcia i zakopywania trumienek. Każdy choć raz w życiu powinien pojechać na pielgrzymkę. Przywieźć ze świętego miejsca relikwię. To się między innymi nazywa tradycja.

A pra-pra i obrazek to dopiero początek pytań. Bo który język uznać za ojczysty, a który za chwilowo używany, wszak nikt nie powie, niby jakim sposobem, „gwarę”? Kto mówi po naszymu, jeśli to znaczy mówienie trochę tak i trochę tak, właściwie na przemian? Jak by to inaczej mogło być, skoro było tak zawsze? Że inaczej dzieciaki nad brudną rzeczka za domami, inaczej pani nauczycielka, ale już w domu wieczorem jakby się szło środkiem tego mówienia. Własnego i ojca (znaczy męża), który ma inną strażkę pieśni, pogaduszek, odzywek. Nie ma co, naser mater, trzeba podjąć takie decyzje. Jedyne możliwe, a potem czekać. Reszta zależy od innych. Także tych, którzy ich wiozą. Jak już im dadzą pieczątki, starannie ich rozwiozą. Po punktach repatriacyjnych, zdecydują, kto gdzie wysiądzie. Niekoniecznie wszyscy hurmem, na hurra! Tu trochę i tam trochę. Jest już późno, 1957, wsie, miasteczka i wille zajęte, trzeba dobrze się napracować, by jeszcze w ogóle gdzieś ich rozmieścić, dać szansę, żeby coś uprawili, gdzieś zebrali, gdzieś te swoje graty upchnęli, gdzieś wnieśli tę swoją wschodnią biedę, wschodniość, ruskość i ten niedawny lament po śmierci Stalina. O którym nic nie mówią, a zawdzięczają mu coś jednak. Że na czas umarł, choćby. I to, o czym wiedzą ze szkoły, co ze szkoły przyniosła Maria.

Więc teraz też trzeba im dać szansę, by mogli upchnąć tę lepszą od innych – tak im się wydaje, bo zawsze mieli skłonność do przesady – wschodnią rozlewność, biedę. Od razu mogliby zobaczyć, co znaczy gospodarować. Poustawiane równo, zakonserwowane narzędzia. Gdyby przy-

jechali wcześniej. Porządne zabudowania, nawet siano w stajniach, talerze w kredensach, pierzyny, wszystko było. Tak słyszą, tyle usłyszą. Na niewątpliwy pohybel, bo nie na pociechę. Gdyby jechali wcześniej, gdyby tak długo nie decydowali, jakim właściwie i o czym mówią językiem, i gdyby mieli pieczątki. Gdyby oni i za nich nie decydowali. Teraz to już raczej niczego się z samej konfrontacji nie wywnioskuje. Do resztek trzeba będzie dołożyć to, co stanowi skarb, a wygląda tak samo. Resztki murów, raczej niechciane, niezechciane przez innych, wyszczerbione cegły i rozdrapany dobytek. Ktoś tu może i był, ale się zmył, uciekł albo odjechał. Narzędzia, których ktoś nie wziął, bo miał lepsze. Albo miasteczko, może miasto. Przed wojną miało te swoje 100 tysięcy, dobije i więcej, teraz skruszone jakimś prawie od niechcenia ostrzałem, małym nalotem? Nawet niezburzone porządnie, jak przystało na poniemieckie – systematycznie. Dotknięte falą uderzeniową cofającego się frontu, zabałaganione wywózką, z pozmienianymi byle jak nazwami ulic, niemającymi szans się utrzymać, zarośnięte zielskiem, otoczone czerwonymi murami jeszcze czynnych fabryk, biednych fabryczek, wodę sodową chyba tylko jeszcze da się w nich produkować i słonawą maż na kanapki, marmit w wersji niemiecko-teraz-polskiej, skondensowana przyprawa maggi. Na resztkach surowca, jeśli mowa o czymś poza wodą, burawą, ale w sumie czystą, na resztkach ciągnących fabryczek, centrum z aleją lipową, teatr, w którym grano także w czasie wojny, niby dlaczego nie miano by grać? Ale lepsze to czy tamto lepsze? Tu teraz okolica też zapomniana przez Boga, tyle że inaczej. Nikt już tu nikogo nie przepędza, nie zamyka, nie przesłuchuje. Senna prowincja. Zielsko przy domach, wilgotnawe bramy, koślawe ławeczki. Narzędzia zwalone w składziku na rdzewiejącą kupę. Ot, trochę na uboczu

zmian. Kto wie, gdzie i co. Łatwo zapamiętać. Łatwo zaciągać się do pracy w PGR-ach, ale i uprawiać przy domu, co tam komu trzeba.

Nikt nie zapyta. Jada, bardzo późno, robi się ciemno. I, prawdę mówiąc, te miasteczka może nie są tak jak Sambor czy Drohobycz piękne. Chociaż zielsko, wilgoć, kupy żelastwa nieuprzątnięte po wojnie... Chociaż są i cechy wspólne. A niektórzy widzieli i dalej, Lwów, młodszy nawet Moskwę, z czym to równać? Gdzie w Polsce jest, będzie, takie miejsce? Wyjazdy pociągiem, wizyty jak pieśń chóru komsomołu. Te ledwie zburzone, zmiecione z wierzchniej obudowy miasteczka i wioski, a nadal takie (jeśli pominąć szczegóły) schludne, jakby nie im się należało, faszystom, rozwalić wszystko, rozwalić, potem zastanowić się nad ciągiem dalszym. Siedzieć ewentualnie w tym słusznie rozwalonym, planując co dalej raczej teoretycznie. A nie tak: schludne i natychmiast osuwające się w błoto. Należało się, ale może i ktoś już wcześniej wiedział, że oni tu, skoro nie mają gdzie, oni tu zechcą pomieszkać, bez entuzjazmu, bo nigdzie już nie będzie tak pięknie, ale dobrze przynajmniej, że mają chociaż do wyboru, czy oni mogą im wybrać, wpisać na kartę przesiedleńczą, te wsie i miasteczka? Jakież muszą, gdzieś ich wywalić muszą. Znamy to: kołdry, dzieci, inwentarz, bóle. Brzęczy nam z ekranów telewizorów, z książek, a czasem z pamięci.

No, na Szczecin to już nie było szansy. Jak się jechało spod Czerwieńska, raczej na Zieloną Górę była szansa. Zieloną Górę, która może i ładna z daleka, z nazwy, z bliska nie daj Boże, słodka Mario łaski pełna! Trudno o pomieszkowanie z kanalizacją. Gorzej niż na przedmieściu Sambora. Więcej ludzi na kupie, tak samo smrodliwie. I sąsiada nie znasz, a jak poznasz – lepiej nie mówić. Znów stwardniałymi pazurami trzeba brud ze ścian drapać.

Więc stoją przy rozwalonym płocie, uchylne skrzydło zamykane na drut prowadzi do sąsiadki, Nastii, malwy, marchewka, pietruszka. Stoją po obu stronach z haczkami w rękach – ale to się wtedy nie nazywa „haczka”, tak się nazwie daleko stąd, pod wpływem innych, którzy o robocie dużo mówią i mają ponazywane przedmioty, narzędzia na wzór mowy tych, którzy jeszcze pilniej pracę szanują – i mówią do siebie o próbie chóru w samborskiej szkole, bo na to ojcowie obu bezwzględnie muszą pozwolić, i robią to chętnie. Każdy tu muzykalny, każdy w jakimś chórze pośpiewał. Nikt nawet ojców by, zresztą, o komsomolski chór, zaszczyt taki, nie pytał. Pomysł podobny do pytania o legitymację komsomołu dane im obu za zasługi i postawę, chociaż też z rozdzielnika. Bo starają się, jasne, jednak może w sercu mają zdradę? Może matka-ojciec-dziadek-babcia sączą im w uszy za mało miękki akcent? Czy tak z nimi nie bywa? Czy ojciec, z drugiej strony, mógłby nie chcieć takiej czerwonej książeczki z Leninem na okładce u swojej córki w tornistrze? W karmanie? Taką legitymację trzymało się pod bielizną pościelową, na głównej półce w najgłośniejszej szafie stojącej w nieużywanej, najgłośniejszej izbie, gdzie jadło się świąteczne i gdzie czasem ktoś bardzo ważny sypiał. Ważny albo w mundurze. Wówczas tam jeszcze tej legitymacji nie było. Legitymacji przyniesionej w tornistrze, ale zaraz położonej w bielizniarce jak na ołtarzu. W czasach, gdy nikt nie przychodził prześpać się w tym głównym pokoju. Pod poszewkami na poduszki różaniec. Pod prześcieradłami legitymka.

I to jest jakiś trop, tego się można by trzymać. Samborskie gimnazjum i pieśni ku chwale armii i wodza. Komsomoł, legitymacja, odznaka i chusta. Chór, nie kościelny, prawdziwy, szkolny. Jeśli w 1957, a właściwie wcześniej, ktoś tę decyzję podejmował, powinien wiedzieć, że Nastia

dostała imię na życzenie ojca, który chodził z partyzantką ukraińską i może nawet w innych wsiach robił to co oni, nawet to wszystko, co dla rodzin i sąsiadów nie było jasne lub nie stanowiło problemu. A tu dał się poznać jako tęgi śpiewak, żona, stojąc przy tym niższym niż do ramion płocie w kobiecym ogródku, nigdy o nim niczego złego matce Marii nie mówiła. Dzieci chrzczyła na rosyjską modłę, ale też żadne z nich nigdy się nie spóźniało do domu, ona sama była wyjątkowo schludna i pracowita. Nastia nie mówiła nigdy inaczej niż „tatuś” na tego swojego ojca, niewątpliwie wiedziała. Maria dobrze to czuła. Wszyscy tu zdrobniale mówili o rodzicach, nawet o tych z raczej ciężką ręką. Taki szacunek. Ojcom się należy. Tak było i będzie. Będzie co było. Za komunisty jak za cara. Sprawa odwieczna. Tatuś, tata. Niektórzy wiedzą, z czym to się wiąże. Gadać nie należy na ten temat za dużo. Morda w kubeł.

A próba chóru to było śpiewanie w języku najlepiej im jednak obu znanym. Plewiąc grządki, czasem sobie też przez płot te smętno-tęskno brzmiące pieśni, na zmianę z dumnymi radzieckimi, odśpiewywały. Gdyby je zapytać, tak gdzieś w 1950 roku, obie mają po dziesięć lat, to już wtedy i trochę później, najlepiej jednak leży im na podniebieniu rosyjski. I książki w domu, te dziesięć, gdyby w obu domach zliczyć, mają po rosyjsku. Nastia nigdy nie mówi o ojcu inaczej niż „tatuś”. Na fotografii widać, że to wszystko nie oznacza pieszczot, spracowane ręce babki schowane za siebie, więc na pewno spracowane. Dziadek niczego nie chowa, tu tak jak w rzeczywistości nawet nie musi nikomu nic mówić. Wiedzą, jak się ustawić do zdjęcia. To znaczy, na tym jest tylko on i żona, czyli prababcia. Tylko ona dba o ukrywanie spracowanych dłoni, bo to wiadomo, kto obejrzy zdjęcie. Prababcia jeszcze nie, nawet nie babcia, natomiast matka już będzie chodziła do szkoły.



foto: Marta Eloy Cichocka

Inga Iwasiów (ur.1963), profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, literaturoznawczyni, krytyczka literacka. Wydała m.in.: opowiadania *Miasto-ja-miasto* (1998), poezje *Miłość* (2001), *39/41* (2004); rozprawy i eseje *Opowieść i milczenie. O prozie Leopolda Tyrmanda* (2000), *Rewindykacje. Kobieta czytająca dzisiaj* (2002), *Gender dla średnio zaawansowanych. Wykłady szczecińskie* (2004), *Smaki i dotyki* (2006).

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).